

## WSPOMNIENIA "STOKROTKI"

Lęk i nadzieja.

Podczas oblężenia Warszawy w 1939 r. zaczęłam pracować jako sanitariuszka w szpitalu przy ul. Krasińskiego na Żoliborzu. Potem przyszły dla Warszawy ciężkie lata okupacji, lata "Polski Walczącej". Kto mógł doksztalać się, brał udział w sabotażach i przygotowywał do walki z okupantem. Ja też na jednym z konspiracyjnych kompletów pogłębiałam swoje wykształcenie sanitarne, sama zostałam instruktorką. Wyszkołam trzy grupy sanitariuszek. Polem dostałam polecenie zorganizowania punktu sanitarnego w Legionowie i wyszkolenia jego personelu. Odtąd jeździłam tam co tydzień - musiałam więc zrzec się kolportażu i noszenia broni, bo ktoś musiałby mnie przecież zastępować.

Pod koniec lipca 1944 r. cała Warszawa wrzała ruchem niesamowitym. Niemcy, jak szaleni wyjeżdżali, przyjeżdżali, zupełnie nic zwracając uwagi na naszych. Mogliśmy więc bezkarnie przewozić broń, opatrunki. W tym gorączkowym czasie dostaję niespodziewanie rozkaz odwołujący mnie z placówki w Legionowie. Mam się zająć organizowaniem na Starym Mieście punktu opieki nad dziećmi opuszczonymi w czasie przewidywanych walk. Zdołałam zaledwie zorganizować lokal, gdy łączniczka przyniosła mi rozkaz, nowy: jak najszybciej ma powstać punkt opatrunkowy na Powiślu, w okrągłaku, gdzie znajdowało się przedszkole. Zupełnie zdezorientowana, bez entuzjazmu zaczęłam pracę z przedszkolakami. A tu już 1 sierpnia. Nie znałam godziny wybuchu powstania. Była dla mnie zaskoczeniem. Siedzieliśmy w mieszkaniu z mężem. Stale ktoś wpadał zdziwiony strzelaniną, przerażony, że już są ranni. I mimo iż wszyscy byli znękani terrorem niemieckim, to ten niespodziewany początek walki wywoływał u większości cywilów zdumienie połączone z przerażeniem, strachem nieznanego losu, strachem przed śmiercią. Może pod wpływem tych bezradnych, zagubionych ludzi, a może dlatego, nie zdołałam co końca (nie ze swojej przecież winy) wypełnić rozkazu, ja również załamalam się. Nic od razu poszłam na swój słabo zorganizowany i Wahałam się cały wieczór i noc. Myślałam o nieudanym powstaniu w Wilnie. W końcu zwyciężyło poczucie obowiązku i przekonanie, że właśnie takie jak ja – bezdzietne kobiety, powinny iść walczyć, pomagać innym.

Wczesnym rankiem biegłam tylko z jedną myślą, nie zastanawiając się gdzie my, a gdzie Niemcy: trzeba czym prędzej dostać się na posterunek; naprawić swoją głupotę, jak mogłam zostawić moje nauczycielki same? Może byli ranni... Czy dały sobie radę? Pogrążona w myślach nie bałam się wcale, choć padały gęsto kule - ale czyż tak nie było w czasie oblężenia? Czyż to nie ja mam innym nieść pomoc? Im bliżej Wisły tym więcej domów porozbijanych, podziurawionych drzwi, zamkniętych okiennic i ani żywego ducha, ani ludzkiego cienia. Zbliżam się do celu. Oho, już strzelanina ucichła zupełnie. Jest mój okrągłak; Ale czemu w zasiekach? Żeby się do niego dostać trzeba przełazić przez druty kolczaste, jakieś bale... Dopadam do drzwi, pukam, walę pięściami, szarpie, wołam. Zamknięte. Cisza. Nikogo. Biegnę do kamienicy naprzeciw. Pukam do okna. Nikt się nie odzywa. Nie rozumiem gdzie się podziali ludzie? Wreszcie za którymiś drzwiami szept: "Kto tam? Głośno dopytuję się o przedszkole. - "Tam są Niemcy" - odpowiada przerażony głos. Wrzeszczę ze złością, że to nieprawda, że stamtąd wracam...

Okazało się, że całą noc trwała tu strzelanina. Nauczycielki uciekły gdzieś i Niemcy zajęli przedszkole i jeszcze przed kilkoma minutami stamtąd strzelali. i tak oto stoję sama wśród zatarasowanych, zimnych, jakby wymarłych kamienic. Nie zdaję sobie jeszcze sprawy, że cudem uniknęłam im. niebezpieczeństwa. Gdybym zjawiała się tu 15 minut temu, w swej

głupocie wpaśćabym prosto w ręce Niemców. Instynktownie zaczynam przemykać się ostrożniej, sunę pod ścianami, staram się nie wychylać.

W końcu mijam plac Krasińskich. I tu dopiero życie. Tu ruch. Widzę ludzi – to Polacy. Zaglądam do bram. Wszędzie młodzież - chłopcy, dziewczęta. Pytam o moje nauczycielki. Ktoś je widział dalej. Trzeba iść Długą. Ruch coraz większy. Młodziei rozmawiają słychać śmiechy. Idę za nimi. Nikt mnie nie zatrzymuje. Wchodzę do dużej sali pełnej ustawionych w krąg stołów i ławek. Chłopcy i dziewczęta jedzą obiad, panuje wesoły gwar. Pytam o sanitariuszki z Powiśla. Podchodzi do mnie niewysoki, o śmiejących się oczach pan. I on jest z Powiśla, widział je, ale po co ich szukam? Mogę na nie nie trafić, a tu też są potrzebne sanitariuszki. O - tu siedzą, jeszcze nie zorganizowane, nie podzielone na grupy. Propozycja jest rozsądna. Umawiamy się jednak, że jeśli natrafię na moje dziewczyny, to będę mogła stąd odejść. (Nigdy żadnej nie spotkałam ani na Starówce, ani w Śródmieściu.)

Jest nas pięć grup sanitariuszek. Przydzielono mi takie zagubione owce jak ja sama. Jedna - to sympatyczna Marylka z grupy Parasol, jest Klimek - wysoka, ładna, Bratek - skromny, Kajtek - płacząca po całych nocach za swym synkiem i jeszcze kilka... Staram się co dzień, gdy nie jestem potrzebna, wyniknąć do mojego mieszkania na Muranowską. Tam czekają na mnie, jak na /bawienie mąż -inwalida wojenny - mieszkańcy naszego i sąsiednich domów. Spragnieni wiadomości pytają i pytają. Opowiadam im - przyznaję - nieraz zmyślane wiadomości, przesadzone dla "pokrzepienia serc". A oni cieszą się i nabierają sił do przetrwania. Te wyprawy są coraz bardziej niebezpieczne Ale trudno, uważam, że i tam jestem potrzebna. To diametralnie różne światy. Na Muranowie pustka, gdzieniegdzie tylko przestraszone, kryjące się cienie. Cywile zachowują się jak dzieci - to płaczą, to się cieszą - zagubieni załamani, A u nas? Ruch, młodość, śmiech, rozmowy, turkocące maszyny do szycia. Starsze panie szyją biało-czerwone porporce, chorągiewki, rozetki - jakby od tego zależał los Polski.

Na Długiej, nawet mnie, lekkomyślnej, rzuca się w oczy brak ostrożności. Nawet warty nie ma. W maleńkim pokoiku na górze "urzęduje" - tak tak, urzęduje pan dziennikarz. Jakiś młody człowiek z maszyna do pisania Pfu; Czy to ważne; W tej chwili, kiedy każde ręce potrzebne; A ten pis/e sobie. Taki młody, żeby choć jeszcze staj - ale młodzi to przecież My. My musimy walczyć, wypędzić Niemców - starzy niech bawią się w pisanie. Wydawało mi się to wówczas ucieczką od walki, czymś zupełnie nieważnym.

Pierwsza Akcja.

Moja grupą sanitariuszek ciągle jeszcze czeka na swój dyżur przy chłopcach. Na razie pomagamy jak możemy w punkcie opatrunkowym, mieszczącym się w piwnicy'. Ale czuję, że sanitariuszki, które były tu pierwsze, nic u(aj;| nam - dają pod opiekę lżej rannych, pracę w magazynie z materiałami opatrunkowymi... Ale zaczęło się podczas obiadu. Prawie wszyscy byliśmy przy stolikach. Okna otwarte, choć sala była na parterze. Naraz zahuczało. I oto na naszym siole coś się porusza jak bąk. W ułamku sekundy nasz szef - Mały Kalinowski, ten co mnie tak serdecznie przyjął - chwycił granat i odrzucił go z całych sił przez okno. Jaki szybki, bohaterski odruch. Reszta nawet nic spostrzegła, że uniknęła nieszczęścia, paniki. Bomba za bombą, pociski; Wyspiegowali przecież, że tu jest zgromadzenie dużych sił. Pękają rury wodociągowe- woda leje się stale, gdzieś się pali, bieganina, ruch. Do piwnicy; Do piwnicy; Ściągamy rannych. O! To ciężka nauka. Powstanie przestało być zabawą w Polskę. Paniusie gdzieś znikły. Warty wystawione. Nikomu nie wolno wchodzić i wychodzić bez hasła.

No, nareszcie i nas przydzielają, na razie zastępczo, do porucznika Ryszarda. Idziemy z dumą. Wieczór. Odprawa. Chłopcy i my stoimy w szeregu. Podchodzi ksiądz - wymawia słowa modlitwy i rozgrzeszenia, błogosławi nas i każdemu podaje Komunię Św. W pierwszej chwili odruch - po co? - przecież nie umieramy. Ale wszyscy przyjmujemy z pokorą. To nas nastraja poważnie.

Pod osłoną mroku zbliżamy się cicho do barykady - chyba na skrzyżowaniu ulic Leszno-Przejazd. Porucznik prowadzi nas do jakiegoś sklepiku. Mamy tu nocować i czuwać na zmianę, byśmy byli gotowe, gdy tylko będziemy potrzebne. Jednak noc mija spokojnie. O świcie wraca porucznik. Prosimy, by zostawił nas przy sobie, na barykadzie, że przecież się nie boimy. Zaśmiał się tylko, że jesteśmy zbyt drobne i małe. Zresztą ma już przydzieloną grupę sanitariuszek - wielkich i silnych bab. A teraz musi iść na obchód. Pozwolił jednak Klimkowi i i mnie towarzyszyć sobie. Mamy iść za nim ostrożnie. Kule padają jak deszcz - to gęściej to żądziej. Czasem cisza zupełna i zaraz wybuch granat. Zgięci w pół zbliżamy się do barykady. Tu nasi chłopcy - wszyscy żywi i cali, ani jednego rannego - powiadają wesoło, jak odpędzili Niemców z Tygrysem - wszyscy zadowoleni i podnieceni. Porucznik dodaje ducha i znów klucząc odchodzimy.

Nagle, 20 metrów dalej, porucznik zachwiał się. Momentalnie podtrzymujemy go z Klimkiem i wciągamy do najbliższej bramy. Już całkiem bezwładnie opada nam na ręce. Jest nieprzytomny. Szukam rany. Oglądam go całego: piersi, brzuch, nogi, ręce - ani znaku krwi... Błyskawiczna myśl - głowa. Tak w hełmie z tyłu jest dziurka. Ostrożnie próbuję unieść hełm, by zatamować krew, dać pomoc. Niestety, widać mózg. Trzeba jak najprędzej do szpitala. Słucham - serce bije, więc prędko daję zastrzyk kofeiny, by wspomóc to biedne serce i kładziemy go na nosze. Prędko, prędko... Nie czujemy wcale ciężaru ciała... Spotykamy po drodze tę grupę sanitariuszek - "tęgich bab", które szły, by nas zluzować. Gdy zobaczyły, że porucznik jest ranny, otoczyły z płaczem nosze. Ostro nakazałyśmy im iść na posterunek. Każda chwila była droga. W szpitalu natomiast zabrano porucznika na zabieg operacyjny. Czekałyśmy na wynik, modląc się o jego życie. Niestety, zmarł nie odzyskawszy przytomności. Zostawił podobno żonę i dziecko. Ogarnął mnie wielki smutek. To był mój pierwszy ranny.

Codzienna służba.

Przydzielono nas wreszcie na stałe do kompanii Dużego Kalinowskiego, w której szefem jest Mały Kalinowski, nasz Wołodyjowski. Kwaterujemy w niedużym domku XXVI komisariatu przy Daniłowiczowskiej. Już normalna praca. Podzieliłam dziewczęta. Jedne gotują inne noszą chłopcom na barykadę do Pałacu Blanka i na Ratusz jedzenie. Dwie z nas są zawsze w pogotowiu. Sama jestem przy doktorze Romanie w więzieniu, po drugiej stronie ulicy, gdzie organizowany jest punkt sanitarny. Niektóre z naszej grupy (pamiętam, że Kajtek najofiarniej) pomagają przy rannych. A rannych jest masa: oczy, zgniecione klatki piersiowe, ręce, nogi, rany po odłamkach - to najczęstsze wypadki. Nasz doktor operuje bez przerwy, dzielny, niezmordowany, bez odpoczynku wyciąga odłamki, zszywa... Nie boimy się bombardowania, mury grubachne, a my na parterze. Niestety. Niemcy i tu pewnie mają swoich, którzy wskazują najłabsze miejsca. Nastawili "szafy" i wałą bez przerwy w jedno miejsce, aż porobiły dziury i tu zaczyna być niebezpiecznie. Na stole leży młody ksiądz. Chodzi z wiatykiem od barykady do barykady-głowa cała w odłamkach. Najgłębiej ugrzązł największy - wysoko nad okiem. Doktor Roman bada i stwierdza, że może wyjąć. Ale Niestety, już zabrakło środków znieczulających - "To będzie bolało mówi księdzu. "Będę cierpiał, proszę wyjąć". Doktor przecina skórę na głowie, wyjmuje odłamek. Teraz trzeba prędko zeszyć. Ale "szafy" grają coraz mocniej - huk niemożliwy, tynk sypie się z sufitu, ściana z boku osuwa się W

ostatnim momencie przykrywamy rannego, żeby nic zaproszyła się mim Książ ani drgnął, ani nie zajęczał. Nagle widzę, przez tę wyrwę ktoś przełazi. Pierwsza myśl - może Niemiec? Ale nie, to doktor Szymański który właśnie podczas bombardowania i obstrzałów szuka rannych, by ich ratować. Człowiek? -raczej Nadczłowiek. A nasz Doktor Roman, gdy tylko przestało sypać z sufitu - kończy zszywanie.

Ale bombardowanie trwa. Trzeba szybko wnosić rannych i transportować znów gdzie indziej. Więzienie jest za blisko pałacu Blanka, Placu Teatralnego, Kanoniczek - tu stałe wre walka. Podobno Niemcy swoich rannych każą zabierać naszym kobietom i dzieciom wnosić na noszach z pierwszej linii obstrzału. Kolega podprowadził mnie ostrożnie do Ratusza, rozbitego już prawie i tam, zza załomu muru widziałam cały Plac Teatralny. Tę cienie większe i mniejsze, schylające się i podnoszące ciała. Słyszę szept kolegi: „Widzisz? I jak mamy strzelać - ”

Nasi chłopcy są coraz bardziej wycieńczeni. Szpital już prawie zupełnie zlikwidowany. Ostatnia noc w więzieniu. Kładziemy się pokotem zmęczeni -obok na stoliku stoją miski z rozgotowanym, obrzydliwym pęczakiem. Nikt tego nie mógł jeść. W nocy bombardowanie, gmach się trzęsie jakby to było trzęsienie ziemi. Jedna z misek spada wprost na mnie. Budzę się natychmiast. Obrzydliwy pęczak zalewa mi włosy, twarz, dostaje się pod panterę. Brr. Nie mogę tego znieść. Wykradam się cicho - biegnę do naszej kwatery, do kuchni. Tu prędko zdzieram ze siebie wszystko, myję głowę. Chcę wracać. A tu -zjawiają się wszyscy, którzy nocowali w więzieniu – odkomenderowano ich. Jest coraz gorzej. Przejście Daniłowiczowską jest już niemożliwe. Padają trupy. A tam dalej - nasi głodni chłopcy. Całą dobę nic mieli nic w ustach, trzeba zanieść im supę, za wszelką cenę. Dwie dyżurne sanitariuszki zaraz za bramą zostały zabite. Szef pyta - kto pójdzie na ochotnika. Zgłaszam się (nie mam dzieci). W niesieniu kotła ma pomóc mi Szeliga. Stoimy przytuleni do ściany, patrzymy jak kule, równoległe do ziemi przesuwają się niczym w kinie trach, trach, trach, - na ulicy leżą trupy. Trupy tych, co nie mogli przejść przez ulicę. Ale my musimy. Musimy zanieść coś gorącego tym umęczonym, głodnym chłopakom. Trupem paść - to najłatwiejszej Czekamy. Wciąż strzelanina. Nagle cisza. Szeliga rzuca się jak szalony. Ja za nim. Przebiegliśmy, żyjemy, hurra! Teraz do bramy i do naszych chłopców. Ale patrzę - z Szeligą coś się dzieje. Ten zawsze odważny i chłopak stoi jak przymurowany. -"Będziesz szła za mną" - szepce. "Jeśli pobiegnę – biegnij! Jeśli stanę - stawaj!". Tylko brama, podwórze i już Ratusz. Ale Szeliga był wciąż dziwny. Wyglądał jakby go ktoś pociągał za sznurek. Zrobił parę kroków - stanął. Znów parę kroków - zboczył, stanął. Ją za nim z kotłem, aż kipię ze złości. Co on wyprawia? Już chciałam iść sama, skoro się boi. Wysunęłam się naprzód i już miałam wejść w bramę, gdy chwycił mnie za rękę i szarpnął do tyłu. To nas uratowało. W tym samym momencie strop runął. Teraz Szeliga rozjaśnił się - możemy iść. "Wiesz, czułem, że tu gdzieś czai się nie bezpieczeństwo..."

Ślepy żołnierz.

I znów granatniki, obstrzał jeszcze większy chyba niż zwykle. Grają "szafy", ryczą "krowy" nieustannie, kule siekają powietrze. Przyprawdzili jednego z naszych chłopców – ślepy. Może jeszcze będzie widział? Może choć jedno oko się uratuje? Nie wolno zwlekać ani chwili - trzeba natychmiast ratować, natychmiast do szpitala. Nasz mały kapral wzywa - kto na ochotnika zaprowadzi biedaka do szpitala? Wstaję bez słowa. Biorę rannego za rękę. Idziemy. Kluczemy. Jeden szpital, drugi, trzeci - nigdzie nie przyjmują. Nie ma mowy, nie są w stanie nawet obejrzeć rannego. Brak czasu. Poza tym był rozkaz, żeby rannych trzymać przy kompaniach. Molestuję, błagam - odsyłają dalej. Może tam, może tam. W końcu dowiaduję się, że po drugiej stronie placu Krasieńskich na pewno lekarze są wolniejsi. Bez namysłu, chcąc jak najprędzej

uratować biedaka, ciągnę go tam. Tak na sekundę zrobiło mi się trochę ciemno przed oczami, bo kulki – widać to gołym okiem - jak sznurkiem gonią z karabinów maszynowych. Ale przecież gdzieś szukać okrężnej drogi, gdy ten nieszczęśliwy potrzebuje natomiast pomocy? Czuję zresztą, że zaczyna słabnąć. Mówię mu krótko, bo mi nic widzi przecież:-przeżegnaj się i goń razem ze mną. Ja będę liczyć. Objęłam go wpół. Biegniemy, skaczemy: raz, dwa, raz, dwa. Schyl się, o tu schyl jak najniżej, bo widzę ten śmiertelny sznurek nie tak całkiem nisko, zmieścimy się pod nim. Niżej - raz, dwa, raz, dwa. Jesteśmy po drugiej stronie. I dopiero wtedy, gdy spojrzalam w przerażone oczy chłopaka, który pełnił staż i nic pozwalał nikomu wychylać się na plac, uprzytomniłam sobie, na jakie nie szczęście naraziłam biednego ślepego. Śmierci? - To nic - to błogosławieństwo. Ale mógł jeszcze raz zostać ranny w swej bezradności. Został w szpitalu. Sama wracałam okrężną drogą wskazaną przez hurtownika. Ale w sumieniu moim, mimo pozornej głupoty i lekkomyślności tego czynu - byłam spokojna. Chłopak słabł coraz bardziej, a na tej okrężnej drodze też czyhało tysiące kul i pocisków. "Szafy" obracają się na wszystkie strony i nigdy nie wiadomo skąd co padnie. Całe szczęście, że sabotaż dobrze działał, bo niewypałów masa. Lecz i tak nasza ukochana Starówka to przecież łupu gruzów-ale my jej nie oddamy|

Kanały.

Po nieudanej próbie przebicia się, zgodnie z rozkazem dowództwa, przez Ogród Saski do Śródmieścia, z naszej kompanii prawie nikt nie został, a porucznik Kalinowski był ranny. Ale nasz duch niezłomny. Nic chcieliśmy opuszczać Starówki. Jeszcze mamy amunicję - wysadzimy się w powietrze, a stąd nie wyjdziemy. Ale dowództwo już postanowiło. Nie tylko my tu jesteśmy -Żołnierze Starówki, zaślepieni powstańcy. Jeszcze kryją się po piwnicach ludzie. Ludzie zwyczajni, wylęknieni, chcący żyć za wszelką cenę, patrzący na nas nieraz wrogo, że to przez nas tracą dobytek i bliskich. Dla tych ludzi, by życie nie zginęło, musimy opuścić Starówkę. Z jakim żalem. Z jakim buntem wewnętrznym poddajemy się rozkazowi : Powstańcy mają kanałami przejść do Śródmieścia. Idziemy. Późny wieczór. Przed oczami przede wszystkim czerwono - ruiny palą się naokoło. Obraz z "Piekle Dantego" a my suniemy parami jak cienie w ciszy kompletnej. Obiega rozkaz, że już za parę minut na dany znak mamy pochylić się jak najniżej i do włazu. Trzymam za rękę męża. Już już. Nasi chłopcy zrobili wykop aż do włazu kanałowego . Sam wąż ubezpieczają trochę worki z ziemią - mimo to podobno są zabici. Zatracam poczucie rzeczywistości. Huk dział, karabinów, ogień, cienie ludzkie wszystko to miesza się przed oczami. Rozkaz! Prędko biec do włazu parami i w dół Nogi same się, spuszczaają i wąż w jakąś wodę. Cicho. Nie wolno mówić. Każdy głos to śmierć Niemcy tylko czyhają żeby zrzucić granaty. Posuwamy się jak we śnie. Nic ma czasu na zatrzymywanie się. Za tobą idzie inny - i tak dalej, dalej procesja duchów jak w jakimś makabrycznym filmie. Idziemy bez końca. Czasem tylko szept: "Tu ściszyć się jeszcze bardziej, nie niepokoić się, jeśli trochę postoiemy, tu jest wąż po niemieckiej stronie". Czasem słyszymy w górze szwargot niemiecki -wtedy wstrzymujemy oddech. Czasem dochodzą nas wybuchy to Niemcy walą w kanały. Już przewąchali, że chcemy się przedostać do Śródmieścia.

Przed mężem idzie porucznik Jarząbek - schnie mu w pudle co trochę wyjmuje kostkę cukru, macza ją w "wodzie" i ssie nie zdając sobie sprawy, co robi. "Woda" sięga nam czasem po pachy. Czasem depczemy po czymś miękkim. Nie zdajemy sobie sprawy, że to ciała - których z chłopców może?

Kanał coraz węższy. Naraz wybucha panika. Ktoś niechcący krzyknął, że zabłądziliśmy, że już idziemy osiem godzin, że nie mamy przewodnika. Pewno krążymy w kółko i nigdy stąd nie wyjdziemy| Zaczyna być coraz głośniejsze Trzeba opanować ten ślepy strach. Walimy jeden

drugiego po łbie "poczta dalej". Cicho, głupcy. Czy chcecie śmierci. Niemcy w górze, z trudem przeciskamy się na czworakach. Brak oddechu Ci przed nami stanęli. Co to? - To nic. Podobno to już. Doszliśmy jednak Dokąd? Znow w ruiny i w gruzy? Znow będziemy uciekać od bomb i kul? Osi łożnic. Kanał nakręca w górę pionowo, ale tak wąski, że tęgi człowiek chyba nie przejdzie. Przeciskam się. Ktoś mi pomaga. Ktoś wyciąga na powierzchnię. Jak jasno. Chyba biały dzień. Domy. Naprawdę domy. Czy to nasza Warszawa? Przecież w niektórych domach nawet są szyby. Patrzcie, patrzcie, domy z szybami. Czy tu nie bombardują? Czy tu nie było walk?

Do końca Powstania Stokrotka pracowała w szpitalach Śródmieścia. Przydzielono ją do patrolu przy kompanii kpt. Prusa, towarzyszyła w akcjach swoim nowym kolegom. Kwaterowali na pierwszych liniach. Powstańcom we znaki dawał się głód. Stokrotka dostała czerwunki. Poprosiła o pozwolenie przejścia za Aleje Jerozolimskie, w rejony wymarłych lub spalonych domów, gdzie życie skupiało się w piwnicach. Na Wilczej, na diecie z zupki mel" (rzadki kisiel z wody i mąki) - podleczyła się. Natychmiast zgłosiła się do pracy w szpitalu na ul. Kostkowej. Pomagała przy operacjach. Pozostała . do końca, do zawieszenia broni. Gdy przyszedł rozkaz opuszczenia Warszawy, ze względu na męża - kontuzjowanego w 1939 r. inwalidę wojennego, nie poszła ze swoimi do niewoli. Połączyła się z ludnością cywilną i podzieliła jej losy. Jak wspomina - "tak skończyło się Powstanie, a zaczęła gehenna innego rodzaju - aż do odzyskania Niepodległości".

-----

"Stokrotka" to Halina Iżycka - Herman, mieszkanka Brzozowa przez wiele lat, a wspomnienia jej pochodzą z "Brzozowskich Zeszytów Historycznych", cz. II, Z lat okupacji, zeszyt 2, 1994 r. Czytajcie te Zeszyty..., dowiedzie się wiele o latach wojny i okresie powojennym w regionie brzozowskim, warto to znać, warto...

<https://brzozowiana.pl/publicystyka/item/422-w-rocznice-warszawskiego-zrywuwspomnienia-stokrotki.html>